Nro 26.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 14 grudnia 1844. **Rok piąty.**

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 30 listopada 1844.

Stroje damskie. Gdybyśmy chcieli zajrzeć w roczniki mody, zostalibyśmy zdziwieni niewyczerpanem źródłem coraz nowych pomysłów naszych rękodzielników; i zapytalibyśmy sami siebie jakim sposobem po tylu różnolicowych utworach można jeszcze coś nowego wymyśleć. Są jednak lata jedne mniej drugie więcej obfitujące w nowe wynalazki; rok który niebawem skończymy zasługuje być policzonym między lata odznaczające się dobrym gustem i wielką ilością tworów rękodzielniczych.

Na ostatniej wystawie widzieliśmy pyszne materie jedwabne, po największej części koloru czarnego lub popielatego, bo te dwa kolory są w materiach jedwabnych panujące; wełniane wyroby mniej są w tych kolorach używane, sukno tylko, które jest bardzo wzięte na suknie i gładki tyftyk mogą być w czarnym kolorze. Merynosy gładkie, rypsy, pekiny, damaszki, merynosy w kraty szerokie, atłasy wełniane, tartanele które cudnie na szlafroczki użyte wyglądają, i tyftyki szkockie, są z materij wełnianych najwięcej tej zimy używane.

Z sukień na zabawy wieczorne przytoczymy jako najwięcej zasługującą na uwagę: suknię z atłasu królewskiego, zielonego koloru, której spodnica trzema szerokiemi ubrana ukosami axamitnemi, troche ciemniejszego jak suknia koloru; stanik u tej sukni gładki, zachodzący dobrze na ramiona, zakończony u dołu w kształcie serca, i obłożony w koło gorsu axamitem; rękawy gładkie po łokieć, zaokrąglone u dołu i roztwarte w taki sposób że wychodzące z pod nich drugie gazowe rękawy są bardzo widoczne.

Kapeluszów do wyjścia codziennego najwięcej widzieć można z axamitu błękitnego, czarnemi ubranych korunkami lub rajskim ptakiem; także z axamitu czarnego, który ma tylko po każdej stronie różę z czarnych wstążek i korunek. Atłasowe kapelusze w różnych kolorach są także bardzo używane. Niedawno widzieliśmy dwie prześliczne kapotki: jedna z różowego atłasu pokryta tiulem rurkowanym, różami pod spodem ubrana; druga z materii *poult-de-soie* koloru błękitnego, ubrana wkoło plecionką z wstążki atłasowej tego samego koloru.

Stroje męskie. Od kilkunastu dni o niczem innem nie mówią tylko o nowo wynalezionym stroju, który jak mówią ma zastąpić twinę i ubiegać się o pierwszeństwo z paletotem i płaszczem. Zjawisko to ma nazwanie Giboun; ojczyzną jego są Czechy, Karniola, Styria, słowem jedna z tych okolic germańskich, które nam już dostarczyły dawniej strój polka, mazurka i inne, i którym winniśmy szczere złożyć dzięki za tyle ładnych rzeczy.

Na ostatniej wystawie zajął także wszystkich rodzaj opończy, który, podobny jest bardzo do tunik średnich wieków, które przystawały do figury i miały mały kapiszon spadający na ramiona. Krój tego ubrania jest zbiorem różnych krojów bardzo znanych; ma również jak paletotsak szwy po obu stronach, a szerokość jego jest taka, że można go nosić nie biorąc na rękawy.

Rycina przedstawia: suknię jedwabną z wysokim stanikiem, której ubranie jest szmuklerskie. Druga suknia równie jedwabna, z przodu ubrana atłasem, po której płaszczyk axamitny i turban z piórem na głowie. Trzeci szlafroczek jedwabny. Czwarty frak z wąskiemi połami i szerokiemi klapami, jest to krój najnowszy fraka salonowego. Piąty frak, pod szyję zapięty, po którym surdut z wyłożeniem jedwabnem na klapach i kołnierzu.

Młodości moja!

Młodości moja! ty mi bądź aniołem,
Prowadź do celu i drogą cierniową,
Bylem szedł zawsze z podniesioną głową,
Bylem nie żółwiem był, ale sokołem.
Młodości moja! i nad mojem czołem
Możesz się wznosić z męczennika wieńcem,
Bylem prawd świętych został oblubieńcem.
Młodości moja! ty mi bądź aniołem.

Młodości moja! bądź mi zbrojną tarczą,
Osłoń me piersi przed niemęską trwogą,
Niechaj jak magnes siłami się wzmogą
Kiedy je cierpień ciężary obarczą.
Chociaż pioruny nademną zawarczą,
Niechaj jak prorok przed bożym narodem,
Z sztandarem wiary postępuję przodem.
Młodości moja! bądź mi zbrojną tarczą.

Młodości moja! ty mi bądź łańcuchem,
Wiąż mnie z tym biednym, podeptanym ludem,
Niechaj się pozna, niech rozkwitnie cudem,
Kiedy go otchnę silnym moim duchem.
Orlą źrenicą, zaostrzonym słuchem,
Niechaj się wgłębię w jego pierś zbolałą,
Z której się tyle łez i krwi wylało.
Młodości moja! ty mi bądź łańcuchem.

Młodości moja! bądź mi zdrowem ziarnem,
Każda myśl moja niech się zazieleni
W sercach mych braci, niech się tam rozpleni;
Co ma być białem niech nie będzie czarnem.
Młodości moja! nie bądź mi snem marnym,
Wykuj marzenia twe w żelazne czyny,
By z niej się późne żyć uczyły syny.
Młodości moja! bądź mi zdrowem ziarnem.

25 października 1844.

Kornel Ujejski.

LEKARZ MAGNETYCZNY.

WYJĄTEK

Z PAMIĘTNIKÓW PANA BOLESTY.

PRZEZ

JÓZEFA DZIERZKOWSKIEGO.

Dokończenie.

5.

Zastaliśmy dziada naszego mocno chorego, pan Szmitian wziął się do leczenia, w chwile zaś wolne zamknięty u siebie nigdzie niewychodził, i uważałem że od ostatniej rozmowy jeszcze więcej milczał, zdawał się mnie nawet unikać. Mniej na to zważałem, bo młody i pełen miłości zapomniałem pomału wszystkie myśli, które był lekarz wywołał; czasami jeszcze słowa jego jak widma tajemnicze mąciły spokojność moją, ale jedne Marii słowo, jedno ściśnienie ręki, spojrzenie czułe, rozweselało myśli moje. Żyjąc z dnia w dzień, bez trosków, marząc o przyszłości piękniejszej byłem szczęśliwy z dnia który minął, cieszyłem się dniem jutrzejszym. Ciotka, która zdawała się przychodzić zupełnie do zdrowia, wyrazy pełnemi miłości macierzyńskiej wzbudzała słodką nadzieję, że kiedyś połączony będę z Marią; były zaiste trudności, byliśmy młodzi bardzo, zezwolenie ojca było niepewne; niepokoiły nas w prawdzie te myśli, ale wierzyłem w stałość charakteru Marii, w sobie czułem dosyć siły do przełamania wszelkich trudności, a z resztą, ubogi w doświadczenie, które starszych rozczarowuje, byłem bogaty w ufność prawdziwie młodzieńczą.

Ale przelotne były zawsze dla mnie chwile szczęścia; nie długo trwała spokojność moja; zagłuszone tylko, nie zniszczone były w sercu mojem, wyobrażenia nowe wywołane słowami lekarza; najmocniej utkwiło w pamięci opowiadanie jego o Greczynce, i utajone w sercu mojem nowe uczucie dobywało się gwałtownie z łona mego. Zazdrość była w moim charakterze, i dotąd mimo wszelkie rozumowania niewierzę w miłość bez zazdrości. Nierozumiem ja przez zazdrość brak ufności w kochanej osobie, czuję to tylko, że ja dla kochanki powinienem być wszystkiem, kochankiem, rodzeństwem, przyjacielem, światem całym; każde słowo grzecznie powiedziane, uśmiech uprzejmy choć obojętny, spojrzenie na kogo innego częściej zwracane, było wedle mego przekonania świętokradztwem przeciw mnie popełnionem. W miłości czy przyjaźni żądam zawsze uczucia odrębnego, któreby się nie dzieliło na tysiączne związki pokrewieństwa, grzeczności, i uprzejmości; w uczuciach działu nierozumiem. Kochankę, przyjaciela chciałbym mojem niebem otoczyć, moim widnokręgiem jak ramionami memi okolic!... Jest to wiele żądać od ludzi i życia, więcej daleko niżeli oddać jest w stanie rzeczywistość, która uczucia z płomienia zwykła spłacać monetą z lodu.

W domu dziada mego same okoliczności sprzysięgały się na mnie; mnogie sąsiedztwa zajeżdżały dom ciągle; młoda, ładna i majętna dziewczyna sprowadzała w dom roje obojętnych wielbicieli, motylów z rzemiosła. Maria jako wnuczka gospodarza domu, musiała wszystkich grzecznie przyjmować, żartować z nimi, i chociaż poznała słabość moją, bo któraż kobieta jeżeli sama szczerze kocha, nie pozna swego kochanka wszystkie dobre i złe strony; jednakże mimo najszczerszych chęci nie mogła zawsze uniknąć położeń, sprawiających mi nieraz najnieznośniejsze katusze.

A tańce!... te przeklęte tańce!... ja lubiłem tańcować, ale tylko z Marią, ona zaś namiętnie lubiąc tańce, chętnie ze wszystkimi skakała; osobliwie walca znieść nie mogłem; widzieć pierś o pierś przyciśniętą, dłoń w dłoni, usta tak blisko siebie że się oddech łączy z oddechem, a krew która ogniem płynie po żyłach, świat kręci się wkoło, i znika, wszystkie mieszają się przedmioty, w szalonym nikną zawrocie.... to były męczarnie dla mnie!... W takich chwilach nieraz przysięgałem sobie że żona moja i córka tańczyć walca nie będą; żona chyba ze mną, córka chyba z narzeczonym. Brzydziłem się tym tańcem zawsze, widząc w nim coś bezwstydnego; cóż się ze mną dziać musiało, kiedy Maria, którą chciałbym z objęcia matki w moje porwać objęcia na zawsze, lotem ptaka kręciła się szalonym wirem pociągnięta, ściśniona ręką płaskiego eleganta. Unikała zapewne walca przez wzgląd na mnie, ale nie zawsze się jej to udawało; ja nieśmiałem wyraźnie zabronić, a tak często obwiniałem ją; często zazdrość podawała mi tę przykrą myśl, że ja ją tylko pociągam za sobą na wysokość moich uczuć, niepojętych dobrze przez prozaiczną dziewczynę.

Szmitian, który po dniach kilkunastu milczenia znowu się do mnie zbliżył, przypatrywał się najczęściej tańcom, robiąc zimne uwagi, któremi znając moją nienawiść do tańców zdawał się naumyślnie podbudzać zazdrość moją. Raz późno już w nocy zagrano walca; Maria przyrzekła mi że tego wieczora już go tańczyć nie będzie, kiedy raptem milczący tańców świadek, lekarz porywa ją, krzyczy na muzykę, by prędzej grała, i walcować zaczyna. Kręcił się zaś tak prędko, że ich ledwie dostrzedz mogłem; było coś nadzwyczajnego w tym tańcu; wszyscy stali zadziwieni, ja ledwie wytrzymać mogłem. I »coraz prędzej!« woła, coraz prędzej kręci się; oczy zaiskrzyły mu się światłem jaśniejszem od świec które zdawały się być bledsze. Umysł mój niespokojny ścigając ich ciągle porwany w szalone zawroty walcowe, zakręcił się z niemi, tak mi wszystko z oczów poniknęło, czasem tylko dostrzegałem ich niewyraźnie jak przez mgłę snu! Brzydka twarz lekarza zaczerwieniła się rumieńcem przeraźliwie żywym, a Maria zbladła jak trup; chciałem krzyknąć, ciężar cetnarowy cisnął piersi moje, oczy tylko moje latały szalenie za szalonym tańcem; w tej chwili twarz jego ciemno-pąsowa, jakby krwią zbryzgana wyobrażała mi upiora ssącego krew z bladych śmiertelnie ust Marii. Bałem się by co chwila, ta para ulatująca nad posadzką, jak widmo, jak mara nocna nie znikła.... W największym pędzie stanął raptem, w pół omdlałą posadził na krześle, sam zaś niezmęczony porwał za kieliszek wina, mnie drugi nalał, uderzył w niego, i z zwyczajnym wyrzekł uśmiechem:

»Podziękuj mi, nie prędko walca tańczyć będzie.«

Tak byłem odurzony że nic odpowiedzieć nie mogłem, a może i nie śmiałem, bo, by prawdę wyznać, miał on nademną władzę niepojętą; znał najskrytsze tajniki serca mego, i bez żadnego z mej strony zwierzenia się zgadywał prawie myśli moje, a czarem rozmowy swojej tak mnie obałamucał, że byłem całkiem w mocy jego; sercem i umysłem moim władał jak woskiem giętkim; gwałtem porywał mnie za popędem mngnetyczniejszym swej woli... Uczuć moich wytłumaczyć sobie nie mogłem, ale nieraz słuchając jego mowy spiewnej, patrząc w jego wzrok przenikliwy, wierzyłem w głos syreny, w oczy bazyliszka ... Był on zawsze dla mnie zagadką, ale już pomału niewinna niewiadomość moja zaczęła opadać ze mnie, i pełną piersią połykałem obrazy fantastyczne, które w czarownych słowach wylatywały z ust jego.

Rozmowy jego ze mną były zajmujące i częste. Zwiedził wiele krajów, i dobrze zwiedził, a lepiej jeszcze opowiadał o nich, słowami żywiej od pęzla malował.... Słuchając jego, nieraz zdawało się że widzę ciemnobłękitne niebo włoskie, dumam w kolizeum, marzę pomiędzy gruzy i pałace miasta, pani świata, z którego Cezarów i papieżów głosy grzmiały orężem i krzyżem po całym szerokim świecie!... Widzę miasto syrenę w morzu kąpiącą się!... przy tęsknej gondolierów muzyce w miękkiej kołyszę się gondoli, słyszę szelest jedwabnego domina kryjącego miłość lub zemstę; lwy Marka, Dożów ryczą na mnie głosem; sławny most nadpowietrzny westchnieniami wieków i cierpień przemawia do mnie!... To znowu jaskrawy brzask Wezuwiusza oświeca marmury Neapolu i fale spokojnego morza; leje się lawa płomienistym potokiem, brzęczy wkoło pieszczona nuta włoskich pieśni, których każdy ton miłością dzwięczy, roskoszą wzdycha, i miłośną roskoszą pachnie powietrze, oddech włoskiej ziemi!... W tenczas ja myślą gonię kunsztownym pęzlem skreślone obrazy, chęcią rzucam się w ten świat ciekawy, tęsknię poza mgłą przed sobą, żądzą sięgam poza obłoki!... błądzę bez celu, i tu, i tam!... I wnet zakończy gorące obrazy zimną uwagą, łamie ołowianą prozą świeżo wyrosłe skrzydła... i młody zapał z głębi duszy wydobyty niknie w próżnym westchnieniu, w łzie bezowocnej....

To znowu klasyczną ziemię Grecii przebiega; żelaznym pęzlem żelazne dzieje opisuje, i zdało mi się nieraz, że mimo chęci sam się unosił gdy opisywał dzieje Suliotów, gorali, a wśród nich ród Botzarisów. Garstka ludzi pozostała z mnogiego pokolenia; i z skały na skałę przechodząc bronią każdego kamienia, ostatniej góry-fortecy, która jedna została nie z szerokiego kraju; a każda skała czerwieni się krwią, czerni się stosami trupów tureckich, a każda skała dzwiga jednego Botzarisa. I już mała garstka na samym szczycie góry; poginęli jeden Suliota po drugim; popadali jeden Botzaris po drugim, a na samym wierzchołku wśród obłoków prawie, kilką tylko otoczony Suliotami, stoi ostatni Mark Botzaris; siedmiu synów stracił jednego po drugim; stoi nieruchomy, suchem okiem patrzy na okalający go kraj gruzami, trupami zasłany, widzi konanie swego narodu, i sam jeden w szatę obłoków owinięty wznosi się po nad ziemią bohatyrów... a wokoło wieniec złotych półxiężyców, i spojrzeń srogich; a wokoło rozlega się dzikie przeraźliwe Allach!... i wolnemi echami rozniesiony od skały do skały niknie w pustej krainie.... A ostatni z narodu Suliotów, ostatni Botzaris zanucił pieśń rodu swego bohatyrską; puszcza na wolę łabędzi głos pożegnania; spiewa słowa starogreckie rytmem dawnych pieśni olimpijskich.... Słucham zadumany spiewu lekarza!.. ten głos pełny wdzięku i wyrażenia niesie do uszów moich słowa dziwnie harmonijne, spiewne hieroglify przebrzmiałych wieków sławy i sztuki, i z piersi moich gwałtownie dobywa się wszystko co jest szczytnem i dobrem.... I znowu fantastyczną karykaturą kończy cudowny obraz... i znowu w próżnem westchnieniu wyższy niknie zapał....

Albo prowadzi mnie do kolebki świata, szerokiego Nilu prowadzi brzegiem, tajemnicze słowa, hieroglify slabizuje; w kilkunasto wiekowe wprowadza piramidy, groby królów; podziemnym prowadzi labiryntem między bramą życia a śmierci; ukryte czarodziejstwa starych kapłanów z łona wiecznej nocy wywołuje, dobywa tajemnice grobu z ciemnych twarz mumij, a tajemniczą zasłonę w fantastyczne zwijając odcienia, to starem bóstwem zaświeci, to starym czarem zaciemni!... Olbrzymie sztuki i umiejętności w olbrzymich grobach karłowatych królów zagrzebane z pyłu wieków oczyszcza, na jaw dobywa; z łona śmierci stuczne duchów życie mocą namysłu wykradzione w istotne wprowadza życie....

To była jego najmilsza rozmowa, i jakkolwiek zimniej sądząc dzisiaj, cały ten epizod życia mego smiesznym mi się wydaje, wyznać muszę że wówczas

mocą szatańskiej wymowy swojej porywał mnie w ciemne kabalistyczne tajemnie świata duchów. A choć ogólnemi tylko słowy mówił o cudownych arkanach kapłanów egipskich w sztuce leczenia, obrazy jego były tak żywe, słowa tak wymowne, pozór tajemniczy taką wzbudzał ciekawość, że mimo lepszego przekonania mego, codzień byłem słabszy, codzień więcej wiary przykładałem do jego słów; niemało przykładały się do tego jego cudowne leczenia, które własnemi oglądałem oczyma, a któremi cała grzmiała okolica. Przytem całe życie jego było tajemnicze; pokój jego osobny zawsze był zamknięty, nawet okienice mocno zaparte; dniem i nocą paliło się światło, które czerwonym łunem wymykało się przez szczeliny drzwiów i okienic. Były znowu czasy, w których zdawał się go trapić jakiś czarny smutek; w tenczas twarz jego była okropna, oczy miały wyraz grobowy; w tenczas po całych nocach błądził samotny po ogrodzie, i nieraz w nocy późnej budził mnie jego spiew nadzwyczaj żałobny. Jednem słowem całe jego życie odrębne robiło na mnie wielkie wrażenie; życie moje przestało być spokojnem; zagadka stanęła mi olbrzymem w drodze żywota mego, i mimo gwałtownej miłości mojej do Marii, nie mało już chwil spędzałem na samotnych rozpamiętywaniach, marzeniach obszernych jak świat, albo ciasnych jak powicie egipskiej mumii.

6.

Ciotka wydawała się zdrową, chociaż z przykrością uważałem że głębszy coraz smutek osiadał na bladych licach. W częstych ze mną rozmowach nie taiła myśli głęboko wkorzenionej że niedługo trwać będzie ten stan zdrowia, że nie długo z nami bawić będzie. W tychto chwilach malowała słowami pełnemi czułości obrazy młodości swojej; wtenczasto lepiej ją poznałem, lepiej pojąłem to życie niezrozumianej kobiety, pełne ofiar bezowocnych, poświęceń nie poznanych; życie ciężkie i nudne, w którem ogień wewnętrzny sam w sobie pali się i pożera, a jeżeli kiedy wybucha, to zimnemi słowy, bo słowa uczuć byłyby niezrozumiane jeżeli nie pogardzone; życie pełne rezygnacii i walki nieustającej między poezią serca, a prozą życia. Ile mi ona nauk dawała pełnych głębokiego doświadczenia, bo choć jej życie nie wiele na zewnątrz się objawiało, ale za to wewnątrz ile przemarzyła, przeczuła i odgadła. Patrząc na mnie jak na przyszłego zięcia, widziała we mnie szczęście lub nieszczęście córki, a poznawszy moją dążność do życia marzeń, z własnego losu biorąc przykłady nauczała i przestrzegała!...

Poczciwa ciotko, przywiązanie twoje i nauki zostaną na zawsze w sercu mojem, i wiecznie brzmić będą głosem lepszego życia; choć już dawno wyrzekłem się nadziei, pamiątki karmię własnem życiem!... Biedna ciotko! ty już nie żyjesz, wszystko wkoło mnie się zmieniło, a dziś jeszcze pamiętam każde prawie słowo, każdy ton twojej mowy. I z Marią miewałem rozmowy poważniejsze, o naszej przyszłości zawsze pięknej, ale już ocienionej ciemniejszemi myślami memi, które coraz bujniej wyrastały z nasienia rzuconego przez pana Szmitiana, który jak zły duch mój ciągnął mnie słowami swemi po za obręby życia zwyczajnego. Chwile szczęścia, które już z woli losu skąpo mi porachowane były sam sobie brudziłem!...

Tak przebiegło pare miesięcy; już wiatr jesienny szumiał suchem liściem po ogrodzie; rzadsze już były dnie pogodne, rzadsze nasze przechadzki wieczorne, czas nieprzebłagany uleciał z tem co miał najlepszego dla mnie. Smutny byłem, i mimowolnie na widok pożółkłych drzew przychodziła mi myśl zimy, a z nią dzwoniły w ucho słowa lekarza, który uśmiechem jeszcze więcej szyderczym zdawał się żegnać każdy listek zżółkły z drzewa urwany, pędem wiatru niesiony. Jego brak wiary we wszystko coraz się więcej odbijał w mowie jego, której barwa tajemnicza doskonale odpowiadała myślom moim, i porze jesiennej. Maria była duchem moim opiekuńczym; ona bowiem czy przez chęć bycia ze mną, czy przeczuciem powodowana odrywała mnie ciągle od niebezpiecznych rozmów z lekarzem.

Kiedy raptem w końcu prawie września w mglisty zimny poranek zajechał powóz; wybiegam, i zadziwiony stoję na przeciw ojca Marii. Zupełnie był niespodziewany; nagły jego przyjazd zadziwił mnie niepomału, a przy smutnem usposobieniu mojem ciemne przeczucie jakieś ścisnęło me serce. Przywitanie moje przyjął bardzo zimno, i zdało mi się widzieć w oczach jego jakiś wyraz złośliwy, wyraz starca cieszącego się z przykrości młodszych od siebie. Wszedł do pokoju, i gdy za nim pójść chciałem, porwał mnie Szmitian za rękę, pociągnął za sobą do ogrodu, i wprowadził w nieskończenie długą rozmowę o magnetyzmie. Słuchałem go z roztargnieniem, wymowniejszy niż zwykle, tłumaczył mi cuda mocą magnetyzmu zdziałane.

— Dziś magnetyzm wskrzeszony, dodał w końcu; ale słabszy od dawniejszego; pierwej mędrzec, profeta, lekarz potrafił za pomocą magnetyzmu stare przywrócić życie, dzisiaj zaś siła magnetyczna może dać tylko sztuczne, chwilowe życie, którego nie zawsze można być pewnym. My lekarze mamy tym sposobem większą nawet władzę, bo sami własne nadajemy życie; my panami, chorzy niewolnikami naszymi, wypływem naszej woli, która magnetyczną siłą swoją; i za krańcami grobu władać niewolnikiem nieprzestaje; na skinienie nasze grobowe nawet upaść muszą zapory.

Wyrwałem się przecie, i w biegłem do domu; wchodzę, pokoje ciotki puste; mówią mi że z mężem i córką już od godziny są u dziada; nowe przeczucie, nowa boleść przeszyły serce moje. Pełen niecierpliwości biegam po pokoju; tysiączne myśli krzyżują się po głowie mojej. Wyszli nareszcie; osłupiałem; Maria była jak śmierć blada; oczy od łez czerwone zwróciła na mnie z rozdzierającem spojrzeniem. Ciotka była nadzwyczaj czerwona, widać było jakieś poruszenie niezwykłe; pan wuj zeszpecił sobie jeszcze twarz starą, jakimś tryumfującym spojrzeniem. Nim zdołałem przemówić słowo, już weszli do swoich pokojów, i słyszałem zamknienie drzwi; tuż koło mnie stał Szmitian ze swoim wiecznym uśmiechem, i po chwili rzekł do mnie zacierając ręce.

— Tak tu chłodno; snać zbliżanie się zimy.

Wstrząsłem się jak gdybym gadzinę zobaczył; po-

biegłem do ogrodu, przez resztę dnia niewidziałem ani ciotki ani Marii; przy obiedzie siedziałem jak na szpilkach między tryumfującą twarzą wuja, a szyderczym uśmiechem nad swój zwyczaj wesołego lekarza.

Noc całą przepędziłem bez snu; smutne myśli jak mary nocne snuły mi się po głowie; zgadywałem że rzecz szła o mnie, ale napróżno łamałem sobie głowę nad tem co się stało. Nad rankiem zasnąłem snem niespokojnym, ale myśli moje przekształcone w widma dziwaczne krzywiły się przedemną w obrazach fantastycznych.

Nagle dotknięciem ręki zbudzony zrywam się, i widzę przed sobą lekarza, ze wzrokiem we mnie wlepionym.

— Co się stało? pytam przestraszony.

— Za dni pięć ciotka twoja umrze! odrzekł, uśmiechnął się, i odszedł.

Ubieram się, lecę jak szalony, wszystko cicho jeszcze; pytam służącej: Jak się pani ma?...

— Niewiem jak się ma dzisiaj, bo jeszcze drzemie.

— To jeszcze nie słaba?...

— Zadziwiona zmierzyła mnie służąca.

— A panna Maria? pytam dalej.

— Panna spi także, długo w noc pakowała się....

— Jakto?...

— Ma jechać dzisiaj po obiedzie, z panem, albo jutro rano do ciotki podobno....

Jakby piorunem rażony od zmysłów prawie odszedłem; myśli moich sklecić nie mogłem; tyle ciosów spadło na mnie razem, że zupełnie odurzony błądziłem po ogrodzie. Wyjazd Marii tak nagły, był dla mnie niezrozumiały; onaby miała opuścić matkę w takim stanie, matkę, która bez niej żyć nie może... tu przez chwilę zapomniana myśl nowym bolem ścisnęła serce moje. Miałżeby Szmitian żartować ze mnie?... o nie!... to nie był żart; oczy jego gdy gadał ze mną nie żartowały!... Wracam pędem do domu.

— Czy był tu dzisiaj pan Szmitian?...

— Od wczorajszego wieczora nie był jeszcze... ale teraz posłano po niego, bo pani skarży się na mocniejszy ból piersi....

— Na miłość boga proś panny do mnie!...

— Ach biedna panienka, tak rzewnie płacze aż serce boli; niechce odjeżdżać od matki....

Przeszedł w tej chwili lekarz koło mnie... o nie ma już nadziei pomyślałem spojrzawszy w twarz jego.

Co ja się nacierpiałem wyrazić trudno. Siedziałem znowu koło ciotki, której stan na oko zdawał się nie być zastraszający. Z początku ucieszyłem się, bo dla słabości matki Maria uparła się zostać i przemogła. Siedziała koło mnie z zapłakanemi oczyma, ale nieśmiałem ją o nic pytać, okropna bowiem pewność że ciotka umrzeć musi, którą z głowy wyrozumować sobie nie mogłem zatrzymywała wszystkie słowa; patrzałem tylko na nią z zwrokiem pełnym rospaczy. Okropna pewność! mieć ją w głowie i w sercu, a kłamać usty przed córką, słyszeć słowa pełne nadziei samej chorej i otaczających, a wśród tego zimna postawa lekarza rozdającego rozkazy obojętnym głosem. Darmo szukałem pociechy w sklannem jego oku; czytałem w nim wyrok niecofniony!... darmo szukałem nadziei w bladej twarzy ciotki; i z niej wyszczerzała się śmierć boleścią wyryta, z liców zapadłych, z gasnących oczów, z tych ciemnych obwódek, które coraz szerszem kołem otaczały wpół przymknięte oczy.

Nieodstępowałem przez cztery dnie i noce łoża boleści, w którem widocznie przed okiem mojem konała jedyna przyjaciółka moja, nikła ostatnia nadzieja szczęścia. Widziałem jak jedna po drugiej odstępowały ją siły żywotne, widziałem jak oznaki śmierci jedna po drugiej rozciągały się po bladej twarzy, wyciągały rysy, kurczyły usta... A wkoło zimne domniemywania obojętnych, wyrazy Marii nacechowane nadzieją sztyletami raniły serce moje. Maria która dawniej codzień się bała śmierci matki; teraz przez dziwne zaślepienie niewierzyła w nią, i widziałem nawet w jej oczach ukryty zarzut mnie czyniony że ja żadnem słowem nie potwierdzam tej nadziei; ale ja nieśmiałem ani słowa pociechy powiedzieć, cały zajęty stratą jaka nas czeka, na sieroctwo tak bliskie mojej kochanej Marii.... Godziny tylko rachowałem z uczuciem niepodobnem do opisania.

Piąty dzień jesienny i mglisty zaświtał. Ciotki drzemiące oczy otworzyły się na krótką chwilę; spojrzała niemi wkoło siebie: Maria drzemała, lekarz w kącie czytał xiążkę, ja siedziałem zatopiony w myślach. Ledwie dostrzeżonym ruchem ręki dała mi znak; zbliżyłem się....

— Wnet się wszystko skończy! cichym przemówiła głosem; żałuję ciebie, bo jeszcze była nadzieja w mojej woli, i stałości Marii, ale teraz wszystko już przepadło.... Po mnie sierota, ojca słuchać powinna... nie odwodź ją od tego świętego obowiązku; zapomnij jeżeli możesz, i bądź zawsze jej przyjacielem.

Zniżyłem głowę by ucałować jej ręce; włożyła je na głowę moją, i wybladłe jej usta zaszeptały nie wyraźne błogosławieństwo jakie spadło na głowę moją!... kiedy podniosłem głowę, oczy jej były zamknięte, a po cichym i spokojnym oddechu zdawało się że drzemie.

Cały dzień drzemała chora, i z całej twarzy palcem śmierci naznaczonej łatwo poznawałem że z tego ostatniego snu życia przejdzie w wieczny sen grobu. Świeca żałobne rzucała światło fantastycznym migając cieniem po bladej twarzy; Maria i ja w uroczystem siedliśmy milczeniu; lekarz zaś stał zamyślony... Spojrzał na zegar, była godzina ósma, a milczenie tak głębokie panowało, że słyszałem chód zegara powolny, i każde jego kołatanie które porywało uciekające jej życie, odbijało się boleśnie po sercu mojem.... Zadrzałem; tuż nad uchem usłyszałem głos lekarza.

— Chcesz widzieć skutki siły magnetycznej, która na chwilę władzę samej śmierci zwalczyć może?... patrz!...

Zbliżył się, podniósł wielką i silną rękę, i pociągnął żywą dłonią nad martwem już ciałem twarzy; chwil kilka przeciągał ręką od góry na dół, a oczy swoje silnym ogniem ożywione wlepił w żółte chorej policzki!... zdało mi się że co chwila usłyszę jakąś dziwną formułę zaklęcia wychodzącą z niemych ust lekarza. Niewymowne uczucie zadrgało w sercu mojem, a światło cieniujące na twarzy palce olbrzymie lekarza zdało mi się żywotną siłą z zdrowej ręki do słabego ciała wchodzącą... I sine już usta różowym ożywiły się rąbkiem, rysy twarzy śmiercią przecią-

gnione zaokrąglały się pomału, ledwie dojrzany rumieniec rozchodził się powoli po bladych licach, powieki ciężkim ruchem podnosiły się do góry, oczy szklanne i nieruchome nabierały barwy, światła, ruchu i życia... I pociągnął raz jeszcze szeroką dłonią, i wzniósł ją w jednej trzymając mierze, jak gdyby mocą tej silnej dłoni utrzymywał śmierć ulatującą nad łóżkiem; w tej chwili uwierzyłem w stuczne życie o którem mi wczoraj mówił. Chora powolnym ruchem obróciła oczy wkoło siebie, i snać wszystkich poznała, bo głosem chociaż cichym, ale swoim, zwyczajnym prawie, przemówiła do lekarza.

— Panie Szmitian; czy niemasz już żadnego sposobu ratowania mnie.

Zamilkła, spojrzała na Marię, która drząca obok stała, wzniosła oczy do góry, ustami lekko poruszyła, ale bez wyraźnego głosu, i tym samym porządkiem życie stuczne siłą cudowną wywołane ustępowało pomału; spadły powieki, zbladłe przeciągnęły się rysy twarzy, zsiniały usta, i zmęczona ręka lekarza opadła, i znowu ten sam stan nieczułości wrócił, środkujący między życiem a śmiercią.

Wyszedł lekarz; długo stałem bez ruchu, tylko bieg zegara kołatał ciągle po sercu, po żyłach i krwi; niemogłem wytrzymać tego stanu; prosiłem Marii, by się na spoczynek udała, ale gdy odmówiła, wybiegłem trochę na świeże powietrze by ochłodzić wzburzoną krew. Siadłem na ganku, i obwinąłem się w płaszcz, zmęczone bezsennością skleiły się powieki. Sen był męczący; obrazy gorączką skreślone krzywiły się ciągle przed oczyma w różnych dziwnych zmianach; moje przeszłe życie bez trosk, życie młodości i spokoju przesuwało się przed duszą, potem znowu widma tajemnicze skakały z twarzą lekarza, wykrzywiały się i śmiały, i znowu blade ciotki ciało, i Maria kręcąca się z lekarzem w szatańskim walcu, a nad tem wszystkiem olbrzymia ręka przez całe niebo rozciągnięta, której ogromne palce w dziwne znaki pogięte wydawały się jakby litery, hieroglify jakieś nad których wyczytaniem umysł boleśnie natężałem. Sen mój był mocny; nagle konwulsyjne drzenie przebiegło przez wszystkie żyły; zbudziłem się; serce mi chodem zegarka klekotało po piersi.

Wróciłem do pokoju chorej, zbliżam się do łóżka. Maria położyła głowę na koniec matczynej poduszki, i znużona zadrzemała; ze strachem spoglądam na twarz chorej!... Już było po wszystkiem!... Piętno śmierci wyraźnie wypisane spojrzało na mnie. Musiała w tej chwili skończyć, bo zdało mi się że ostatnim oddechem podniesiona warga zapadła w oczach moich; przyłożyłem drżące ręce do oczów, i zakryłem twarz bojąc się by się Maria nie obudziła... Spojrzałem na zegar!... sama dwunasta; skończył się piąty dzień, dotrzymała śmierć słowom lekarza. Maria drzemała spokojnie; jakiś wdzięczny sen kołysał się uśmiechem na pięknej twarzy spokojnie złożonej na poduszce, a na tejże samej poduszce o jedną piędź dalej leży martwa głowa matki; sen spokojny córki, i sen wieczny matki tak razem; sen życia igrający i swawolny, i sen uroczysty śmierci tak blisko siebie t...

Co cierpiałem wtenczas dziś próżnemi nie wydam słowy, to tylko pamiętam że najwięcej bałem się by Maria obudziwszy się raptem o okropnej nie przekonała rzeczywistości... Głęboką boleść zamknąłem w sercu, była to pierwsza wielka boleść, co kirem zaciemniła wiosnę moją, był to chrzest cierpienia!... Schowałem świecę, obudziłem Marię powoli, i niewiem zkąd dobyłem mocy, skąd słów dobyłem, by ją namówić do wyjścia z tego pokoju; uwierzyła wreszcie że niegrozi żadne niebezpieczeństwo i wyszła do swojego pokoju. Spokojniejszy gdym ją odprowadził, chciałem się wypłakać, ale żadnej łzy dobyć nie mogłem; sucha rozpacz gorączką piekła zmęczone oczy. Na ganku z otwartemi oczyma prześniłem całą noc, przemarzyłem, przeczuciem odgadłem całą przyszłość moją już ustaloną i smutną!...

7.

Nowy ranek zaświtał, nowa epoka dla mnie! com przecierpiał i sam, i dzieląc Marii słuszny żal przemilczeć wolę, bo nie wydam zimnemi słowy tych scen okropnych rozpaczy, łzów i pogrzebu. Widok Marii dawał mi dosyć siły do znoszenia własnych cierpień, pocieszając ją nie próżnemi słowy, ale serdecznem współczuciem. Odbył się nareszcie pogrzeb, i nazajutrz równo ze świtem miała wyjechać Maria z ojcem. Rozmowa jaką miałem z nim, przekonała mnie dostatecznie, że razem z śmiercią ciotki wszystko dla mnie umarło, że uczucia moje i nadzieje powinienem w sercu zagrzebać; nieugięty starzec zimny na śmierć żony, na rospacz córki zastawiał się młodością moją, widokami memi na przyszłość, które by mogło zawczesne zburzyć ożenienie; jednem słowem, ja gadałem do niego sercem, on odpowiadał głową, jam przemawiał uczuciem, on odpowiadał rozumem. Przyrzekałem czekać, czekać długie lata, bylem miał nadzieję, nic mi przyrzec niechciał dodał tylko w końcu, że sam najlepszym sędzią szczęścia córki, a tego niewidzi w zamęściu zemną.

— Tobie potrzeba świata, a jej ustronia; wasze drogi rozchodzą się, i nigdyby się nie były zdybały, gdyby uważniejszą była żona moja; z resztą zasłaniał się wolą dziada, który się także związkowi temu sprzeciwiał....

Pobiegłem do dziada; ledwie mnie zrozumiał, przeżywszy kochaną córkę, przeżył sam siebie; skurczony lodem wieku słuchał z zimną twarzą, okiem zadziwionem, nierozumiejącem moich uniesień zapalczywych; w końcu wziął xiążkę, zaczął modlić się za duszę córki, i mnie kazał modlić się. Za daleko stały nasze wieki, nasze uczucia, abyśmy się zrozumieć mogli; on kończył życie długie; daleko za sobą zostawił wszystkie lat młodszych omamienia; ja zaczynałem życie urojeń i nadziei. Na dwoch końcach życia stojąc nie mogliśmy się rozumieć.

Odszedłem; z Marią od przyjazdu ojca nic nie mówiłem, w czasie słabości matki nie myślałem o tem, a teraz ledwie chwil kilka sami byliśmy, a żalem przejęci myśleliśmy tylko o świeżej stracie; miałem jednakże tyle czasu, że wymogłem na niej przyrzeczenie, iż się zejdziemy wieczorem w kaplicy familijnej, w którą zrana złożono zwłoki umarłej. Chcieliśmy razem połączyć ostatnie pożegnanie nasze, i pożegnać miejsce w którem na zawsze zostawialiśmy matkę naszą, ale pomimo woli snuła mi się nadzieja że może znajdziemy sposób ratowania się.

Tysiączne myśli burzą latały mi po głowie!... Chciałem przemódz siłą mej woli wszystkie trudności, chciałem porwać Marię... i znowu malowały mi się obrazy mego wywyższenia; wojowałem, w radzie zasiadałem, i wawrzynem uwieńczony wracałem dopominać się o szczęście moje, o rękę Marii... i z nią wchodziłem w progi domowe, pędziłem w ojczystej zagrodzie, w wiejskiej ustroni życie spokojne, wspólne, życie raju... dobry ojciec dla swych dzieci, dobry pan dla włościanów, pożyteczny ziomek dla rodaków... to znowu zbudzony rzeczywistością łamałem ledwie co poklejone obrazy, by nowe kreślić chimerycznym wyobraźni pędzlem; marzyłem, i budziłem się na przemiany.

Już się wieczór zbliżał; ja ciągle zadumany biegałem po pustych ogrodu ulicach nie zważając na jesienny wiater, który jęcząc po suchych liściach z drzew opadłych mroził mnie swoim powiewem; na deszczyk przenikliwy, który mnie na wskróś przechodził, kiedy raptem na zakręcie ulicy zdybuję lekarza; od śmierci ciotki nie widziałem go prawie, albowiem siedział ciągle u siebie. Zbliżył się do mnie jak zwyczajnie, ale wyraz twarzy, ust i oczów był różny, ciemne światło oczów jakby odbrzask uczuć posępnych cieniowało się na całej twarzy, oświecało uśmiech złośliwy ust, i nadawało całemu wyrazowi cechę jakąś tajemniczą i ciekawą.

— Próżny żal! zagadał, niegodny żal!... traciłem i ja wiele w życiu, ale zimny patrzałem na te zdarzenia, jak na zwyczajne życia koleje; burzom czoła nie ugiąłem; ja traciłem, ale większe i częstsze były razy; przetrwałem, i teraz śmieję się, a ty młody, silny, za pierwszym podmuchem burzy kurczysz się jak robak, zginasz jak trzcina, drzesz jak kobieta....

— Nieznasz położenia mego; przerwałem.

— Ja go nie znam! i coż jest czego ja nieznam; odpowiedział, i podniósł dumne oczy; dawno tajemnica twoja dziecinna przestała być tajemnicą dla mnie!... Wielka dziwna tajemnica! kochałeś!... bo się to już skończyło; miałeś wiosnę, miałeś lato, używałeś, powinieneś był używać; teraz jesień, zapomnij i ucz się, by cię zima gołego, nie porosłego w pierze nie zastała. Miłość, to cacko chwil kilku, żądza używania, burzenie się krwi młodej; serce, to drzenie nerwów niezahartowanych... to nie życie! to nie istota rzeczy!... to próżna przedmowa, obrazek, tytuł!... Tu! dodał z ręką na czole; tu życie! tu świat! świat nauki, która węzłem silnym łączy byt z nicością, wieczność z pyłem, tu nieśmiertelność, tu najwyższe bóstwo!... rozum!... a szkoła!... nie gwiazdy, niebo, zie-

mia! próżna to deklamacia, szkoła grób!... bądź cierpliwy i ucz się!... Płacz i uczucia zostaw bawełnianym duszom; dusze z żelaza, dusze męskie hartują się w ogniu, nie pękają w burzy!...

I zamilkł, ale okiem we mnie wciśniętem kończył zaczętą mowę; zdawało się, że jak w owej nocy z ręki jego wylatywały cząstki życia stucznego, tak teraz z oczów jego strzelają we mnie łyskawice nowych myśli, i nowych tajemnic; magnetyczną siłą wzroku swego zaczarował mnie. Nie mówiłem nic bo mi dawne słowa przestraszone uciekły, a nowe pomału wywijały się z łona głowy. Po chwili uroczystego milczenia ścisnął mnie za rękę, i głosem jak zawsze wymownym dodał....

— Kochałeś tę ciotkę!... będziesz ją raz jeszcze widział. Odwrócił się, i szybkim znikł krokiem.

Biegałem jak szalony po ogrodzie; nowe myśli silną wolą lekarza wywołane, labiryntem powikłane skakały po mej głowie, a ostatnie jego słowa dzwoniły mi tajemniczym głosem w uchu. W każdem drzewie obnażonem zdawało mi się widzieć duchy jakieś dziwne olbrzymiemi okalające mnie ramionami! z każdej ulicy świeciły mi oczy trupie ciotki; strach nieznany zimną dreszczą latał po żyłach moich.

Bez przytomności prawie, nieświadomy siebie, zaszedłem do mego pokoju, i rzuciłem się ubrany na łóżko. Niewiem czy spałem, czy marzyłem; to tylko pamiętam że krew gorączką rozpalona tańcowała w fantastycznych obrazach po mózgu moim. Barwy obrazów dawnych i nowych pomieszane w dziwną mozaikę, to się iskrzyły, to znowu zaciemiały i mglistą kryły powłoką....

I w tej chwili!... czy snu zjawienie, czy widmo gorączki, czy mara wyobraźni, czy duch z grobu wywołany spostrzegłem tuż koło siebie postać schorowaną i bladą zmarłej ciotki!... Widziałem ją wyraźnie, z tąż samą twarzą, temiż oczyma wpół ożywionemi siłą magnetyczną lekarza, i nawet zdało mi się, iż widzę nad tą postacią ulotną, wznoszącą się olbrzymią rękę lekarza, jak wtenczas nad łóżkiem śmierlelnem... Tak byłem zmęczony, że bez wrażenia prawie, bez żadnego zadziwienia patrzałem na to zjawisko.

Ocknąłem się, przetarłem oczy; wszystko znikło, tylko w pół otwartych drzwiach stał lekarz z zimnem obliczem, okiem wytężonem, i tąż samą rękę, jakem pierwej widział, trzymał wyciągniętą z wyprężonemi żyłami... i wyrzekł głosem czy pewności, czy zapytania....

— Widziałeś!... i wyszedł....

Już wtenczas pewnie nie spałem; całej ten sceny uroczystością jakby elektrytcznem uderzeniem wskroś przejęty, stałem na środku pokoju, i chronologicznym porządkiem przechodziłem w myśli wszystkie zdarzenia które się w przeciągu kilku dni tak tłumnie przesunęły. Nieumiałem nic sobie wytłumaczyć, ale w tej chwili we wszystko uwierzyłem, i gdyby w tenczas zaraz był przyszedł lekarz, byłby mnie zastał zupełnie przygotowanym, byłby ślepo mnie za sobą pociągnął w ciemne i tajemnicze państwo duchów, które mnie już od dawna w jego przytomności dreszczem przechodziło, z ócz łyskało, z brzydkiej wyzierało twarzy, dzwięczną mową namawiało i czarowało.

On nieprzyszedł; krew ostygała pomału; z pamięcią wróciło do myśli przyrzeczenie widzenia się z Marią; wolnym krokiem poszedłem do kaplicy. Ożywiony ostrym wiatrem, który wilczym wyciem szumiał nad domem, ogrodem, i całą okolicą, postanowiłem milczeć o tem całem zdarzeniu, osobliwie przed Marią; na jej wspomnienie prawdziwa miłość młodzieńcza rozlała się dobroczynnem gorącem po piersi mojej. Wszedłem do kaplicy.

Kaplica odziana była kirem od rana; wiatr wbiegał przez szczeliny drzwiów i okien, szeleściał żałobnym pokryciem, ruszał światłem lampy, które kołysząc się za jego powiewem olbrzymie rzucało cienie na kolosalny krzyż biały na środku zawieszony, barwą kościotrupa od czarnego sukna odbijający się po białych pomnikach, po złotych napisach, i trupich głowach. Po obu stronach wystawały z dna czarnego dwie głów ludzkich; po jednej stronie głowa siwa i łysa palcem wieku odznaczona, na której bladych i przeciągłych licach światło lampy i uczucia ostatnie z głębi lat i zdarzeń wydobyte w różne cieniując się kształty zdawały się być walką życia i śmierci; po drugiej stronie głowa młoda niewieścia, której rysy pełnem życiem zaokrąglone żal głęboki nieruchomością posągu powlókł; oczy z jednej strony wpół umarłe, porcelanowe, świeciły się tylko światłem lampy; po drugiej stronie oczy młode świeciły się łzami jasnemi. Był to dziad i wnuczka, modlili się nad grobem córki i matki; dwa pokolenia przeciwnoległe nad pokoleniem środkującem... ostatnia pamiątka i ostatnia nadzieja zmarłej, stojące nad jej zwłokami. Ponure było milczenie, ledwie czasem przerwane stłumionym wyciem wiatru, szeptem niewyraźnym modlącego się starca i gorącem westchnieniem dziewczyny mgłą ulatującem po zimnem powietrzu; a nieruchomy i surowy wyraz boleści ukrzyżowanego Zbawiciela spoglądał z góry na tę scenę żałobną oderwaną z obszernego dramatu życia ludzkiego. Wszystkie moje myśli wzburzone, myśli lotne, myśli ciemne, uczucia płomieniste i żałobne wzdęły pierś moją, i gorącą łzą rozrzewnienia ściekły na zimną twarz, a z nią ulatywały pomału wszystkie czarne mary, kruki szarpiące tajemniczem zaklęciem lekarza wywołane. Długo stałem nieporuszony i niepostrzeżony; długie chwile biciem mego serca rachowane przebiegły w uroczystem milczeniu. Powstał starzec zsiniały od zimna, powlókł zagasłem okiem, spojrzeniem zgrzybiałego dzieciństwa wkoło siebie, postrzegł nas, i drżącym rzekł głosem przykładając wyschły palec do ust.

— Cicho dzieci!... moja Antosia spi.

Biedny starzec ze spleśniałego skarbcu swoich pamiątek wydobył może obraz córki spiącej snem niewinności. Biedny starcze! oby się poplątana pamięć twoja nie rozwinęła; okropne byłoby obudzenie po tak pięknym śnie.

— Cicho! szepnął raz jeszcze; jakiś zapomniany, wiekiem zaklęty uśmiech wydobył się na zwiędłych ustach, obłąkaniem odbił się na starej twarzy, i wlekącym się krokiem wyszedł z kaplicy.

Zbliżyłem się do Marii, ukląkłem razem z nią na kamiennej posadzce, pod którą złote nasze spoczywały nadzieje grobowem wiekiem na zawsze zamknięte, i długo w milczeniu modliliśmy się modlitwą i marzeniem. Byłem tak odurzony, że słówka jednego wyrzec nie mogłem; pierwsza podniosła się Maria, otarła oczy, i wziąwszy mnie za rękę; drugą podniósłszy do góry:

— Nasza matka słyszy nas! rzekła do mnie; za jej pozwoleniem wieczną ci miłość przyrzekłam; i przyrzeczenia mego święcie dochowam. Ojcu posłuszną być powinnam, ale ręki mej nieoddam tylko tobie, chybabyś sam tego żądał odemnie; jestem odtąd twoja, przysięgam ci to na pamięć matki naszej; jesteśmy młodzi, miejmy w bogu ufność, wiarę w siebie!... A teraz mój kochany próżny mnie dręczmy się żalem, pożegnajmy się na grobie naszej matki, i rozejdźmy w nasze drogi; miłość będzie nam przewodniczyć, a może kiedyś weseli i szczęśliwsi witać się będziemy na tym samym grobie.

Piękna jej twarz zajaśniała natchnieniem; słowa pełne wyższego zapału niewypowiedzianą harmonią trącały o wszystkie serca mego struny: w tej chwili, kochałem tylko, wierzyłem, ufałem, święta przysięgą stwierdziłem przyrzeczenie wiecznej miłości... i wyszliśmy.

Idąc pomału do domu, dowiedziałem się od Marii, jak jej ojciec cudem prawie uwiadomiony o planie matki przerobienia dziada na naszą stronę, planie który powoli byłby się pewnie udał, raptem przyjechawszy, zaraz mu rzecz całą inaczej wystawił; jak dziad na wszystkie prożby córki i wnuczki odpowiadał widokami memi na przyszłość moją, młodością moją, z której się miał wywinąć kiedyś mąż wielki; a na koniec podbudzony przez zięcia wyrzekł niecofnione „tak chcę, i tak być musi!" Starcze niechciałeś by ci córka umarła, a przecież niestało się gwoli twojej; chciałeś rozerwać dwa młode serca, i stało się jak chciałeś!... Dziwne losu zrządzenie!...

Długo żegnaliśmy się słowy, płaczem, ściśnienieiem ręki; my cośmy się w wiośnie naszego życia, w wiośnie roku witali i pokochali, żegnaliśmy się teraz skołatani burzą losu, otoczeni burzą jesieni!

8.

Chodząc u siebie po pokoju, czekałem dnia, bo spać nie mogłem. Przeżyłem w samotnem marzeniu, całe raz już przeżyte życie, przeczułem w samotnem dumaniu całą przyszłość moją; a wszystkie myśli i uczucia kręciły się około miłości, która z całą władzą serce moje opanowała; w ciasne ramy chwil kilku mieściłem wszystkie obrazy, stanowiska, pomysły, domniemywania, i plany. Nagle iskierką zatliła w głębi duszy myśl nowa, płomieniem ogarnęła mnie w mgnieniu oka... Od dziada wszystko zależy!... lekarz którego moralnej władzy doznałem nieraz, leczy go, ma wielki wpływ... tak, on może wszystko przerobić jeżeli zechce, a zechce pewnie, bo mi wyraźnie sprzyja mnie jednemu z całego domu dawał ciągłe dowody swojej przychylności, przyjaźni nawet; i cóż mu to może szkodzić

pomódz mnie!... Nadzieja zatętniła mocniejszem biciem serca!... O! ta nadzieja, jest to fałszywy ognik co się wędrowcowi pokazuje; przy ostatniem nawet pomazaniu wisi jeszcze nad umierającym!... Mało jeszcze uczony w szkole doświadczenia nie byłem się pozbył jeszcze tej poetycznej błyskotki; poleciałem do lekarza.

Po raz pierwszy szedłem do jego pomieszkania, a taką tajemnicą otoczone było życie jego, że nie bez dreszczy szedłem. Niespodziewanie zastałem drzwi wpół otwarte. Wszedłem; pierwszy wzrok poświęcony był dawno tłumionej ciekawości. Na stole zarzuconym papierami stały obok siebie alabastrowa lampa rzadkiego kształtu, i trupia głowa niepospolitej wielkości; przy łóżku mnóstwo broni różnego rodzaju, różnych wieków, i kilkanaście buteleczek bardzo drobnych, pełnych płynu różnobarwnego; w jednym kącie stało mnóstwo xiąg, w drugim, narzędzia do przyrządzeń chemicznych służące. Sam pan Szmitian stał obrócony twarzą do okna; zatrzymałem się chwilę, i nigdy tak piękną nie wydała mi się ta postać, jak teraz kiedy twarzy brzydkiej niewidziałem. Zbliżyłem się; twarzą spoglądał w okno, jakby się przypatrywał burzy huczącej na dworze; a uśmiech jego jak zawsze szyderski zdawał się być najgrawaniem spokojnego człowieka ze wzburzonej natury.

Obrócił się do mnie bez żadnego zadziwienia, i nieruchome wcisnął we mnie oczy.

— Czekałem cię! powiedział i zamilkł.

— Przyzwyczajony że zawsze prawie najskrytsze myśli moje zgadywał, ośmieliłem się na to powiedzenie, i słowy wymownemi nadzieją i miłością przedstawiałem mu prożbę moją...

— Milczał ciągle, ciężkim tylko wzrokiem swoim cisnął głowę i serce moje, uśmiech złośliwie szatański przeleciał łyskawicą przez twarz; oczy zalsnęły, i jak pochodnie, jak strzały paliły i raniły mnie: zakrzyczał nareszcie do mnie głosem donośnym; prawdziwie zakrzyczał, bo każde słowo, każda zgłoska pełnym głosem wylana, dzwoniła po całym pokoju, a głos chociaż zawsze harmonijny, był tak różny od zwyczajnego, jak huk fali wzburzonych od mruczenia strumyka, a każde słowo piorunem mnie raziło, a każda pauza była długa i okropna, ciężąca nademną jak suchy wiatr puszczy w pośród burzy.

— Ja? ja mam być spreżyną twoich intryg miłośnych, i czyżeś mnie dotąd nie poznał?... Ja, który dawne życie ciała, życie pyłu rzucił za siebie; ja, który w piersi zagrzebałem, lawą zalałem, popiołem zasypałem wszystko co było ziemskiem i ludzkiem; ja mam być teatralnym powiernikiem, węzłem pięcioaktowej farsy?... I ty, który boisz się mego oka, boisz rudych włosów, boisz twarzy życiem przepalonej, tchnieniem grobu zbrzydzonej, ty śmiałeś przestąpić progi moje żebraku miłośny!... Jażbym niszczył własne dzieło?... chciałem rozerwać ten węzeł śmieszny, pasek dziecinny, i zerwałem; moją wolą sprowadzony ten głupi starzec! Co chciałem to zrobiłem, boś ty był mój, ty byłeś moją własnością; koło życia twego weszło w karby moich działań, bo ja chciałem wykuć zdrój ze skały, iskrę z krzemienia!... krzesałem miękkie drzewo!... Chciałem z niemowlęcych pieluch ciała, ducha ożywić, wskrzesić!... Jam cię elektryzował widokiem nowego świata, i nowych obrazów; jam cuda całego świata w galwaniczne układał kolumny, by cię poruszyć; jam ciebie magnetyzował okiem mojem, nauką moją, tajemnicą moją, bo chciałem młode życie wcielić w lata moje, aby to co może kiedyś światu wiecznotrwałem słońcem z łona grobów zaświecić nie zastygło w starej krwi, wpół drogi nie urwało się!... Tyś był moim, bo ci natura dała życie robaka; jam cię przetwarzał na życie ducha. Odrzucasz!... idź więc i pełzaj! jedno złudzenie więcej na drodze żywota mego!... Dąb silny, wiekowych burz świadek, nie zegnę się łatwo!... Idź trzcino! przeniosłeś kobietę, jabłko zgniłego morza! kąsaj więc w popiół!... poznasz kobiety! zdradzony, zdradzać będziesz!... Bez siły, bez sternika, bez nauki wyższej, bez kompasu, burzą namiętności z żaglów odarty statek pływać będziesz po morzu mierności!... ni słońcem w dzień, ni gwiazdą w nocy zaświecisz! ni aniołem w niebie, ni szatanem w piekle! A karą twoją będą żądze wielkie przy małych zdolnościach; okiem tęsknem rzucać będziesz w świat daleki, piękny i czarujący, ale nogą ciężką niezmierzysz tych przestrzeń niezmierzonych!... Niski, pełzający, znudzony, przemarzysz i przetęsknisz życie, przedumasz myśl samobójstwa; duch nijaki przebłądzisz cały wiek nad granicznym piekła potokiem!... ale śmierć piorun, nie dotknie ciebie, bo piorun wyższe łamie głowy; robaki giną naturalnym rozbiorem części chemicznych... Idź!... skrzyżowały się drogi nasze, i bodaj się nigdy nie zdybały; a jeżeli! jeżeli się zdybią!... ty wroga zdybiesz!...

Długo szumiały mi w uszach słowa lekarza, głos jego grzmiał po powietrzu, oczy jego paliły mnie, chociaż dawno już siedziałem u siebie, cierpiąc ból głowy nieznośny, i trawiony palącą gorączką... Ale młody wytrzymałem!... i w godzin kilka za murowaną bramą dworu dwoma ulicami przeciwległemi oddalały się dwa powozy!...

9.

Wróciłem do stołecznego miasta w dom poważny surowego stryja. Długo jeszcze bladłem nad staremi xiążkami; ale próżne były usiłowania moje; nie tak łatwo przebrzmiały słowa lekarza, jego rozmowy, i obrazy wyczarowane z łona mego; a miłość do Marii przeżyła i nauki, i pierwszą życia wiosnę. Z cichych nauk w szalone rzucałem się zabawy, ale czy w samotności, czy w ruchu nie mogłem przegiąć skrzydeł moich w jeden kierunek zagiętych... ciągle kochałem, marzyłem i żądałem....

Zgadł lekarz!... we dwa lata po tych zdarzeniach przychodzi do mnie przystojny człowiek, i przynosi list!... List to był Marii, pierwszy, chociaż ja tomy całe pisałem; ściskam go, całuję, otwieram.... Mnóstwo słów, rzeczy mało; ojciec żąda, i nakazuje aby szła za mąż; pamiętna na przysięgę prosi mnie o radę, i dla tego posyła list ten przez swego narzeczonego. Piękna miłość, piękna logika!... Siadłem, odpisałem i pozwoliłem!... Zmieniła się, bo się wszystko zmienia, chwila do chwili niepodobna, liść do liścia niepodobny, dobrze mówił lekarz; a mówił to w ulicy lipowej!... Tak się skończył mój epizod miłośny! Żem kochał, do śmierci kochał, byłoby śmiesznością powiedzieć; ale kto zna serce ludzkie łatwo uwierzy, że ten epizod wpłynął na całe życie moje. Myśli moje wielkie przemarzyłem bez skutku; uczucia moje ponikły iskrami bez płomienia! Lekarz zgadł, a dziad poczciwy omylił się!... Widoki piękne spełzły na niczem; a ja mimo nauk i talentów próżnemi żądzami wylatuję na świat, tęsknię za tem co tam gdzieś daleko, za mgłą marzeń moich!...

Przeżyłem i przetrwałem; a przecież bez rozrzewnienia nie mogę przypomnieć sobie scen mojej wiosny!... Ciotka poczciwa i kochana; ulica moja lipowa, i Maria nie rzeczywistości, ale Maria wyobraźni mojej; pamiątki drogie!... wy gwiazdy mojego zarania!... rozczulonem was' zawsze śledzę okiem po zasępionem niebie życia mego!... i choć chmury czarne okoliły mnie, widzę was sercem i duszą!...

Dziennik mód paryskich wychodzić będzie i w nadchodzącym roku 1845, w takim samym formacie i takiejże obiętości jak dotąd. Obok opisu mód zawierać będzie powieści oryginalne, rysy obyczajowe, opisy okolic, poezie, nowiny literackie, anegdoty, doniesienia ze świata artystycznego, i sprawozdania ze sztuk granych na scenie lwowskiej. Co do rycin w których już i teraz znaczną widać wyższość od robót dawniejszych p. Wejdla, takowe będą ile możności do doskonałości posunione. Oprócz nich dodawać się będą w znaczniejszych porach rysunki strojów; i tak w numerze pierwszym z nowego roku załączony będzie krój paryskiej koszuli, a to celem upowszechnienia tak wybornego wynalazku krajania wygodnych koszul, który u nas bardzo mało jest znany i dotąd zostawał prawie w tajemnicy; dla trudniących się szyciem koszul, rysunek tej koszuli będzie dany w naturalnej wielkości tak, iż każden, zmniejszając i powiększając tę formę, będzie mógł z niej korzystać. Dla majstrów krawiectwa tak jak i dotąd załączać się będą rysunki krojów sukień. Cena zostaje ta sama jak w roku bieżącym.

Z numerem niniejszym t. j. 26. kończy się prenumerata z roku 1844, przeto redakcia uprasza o wczesne zamówienie na rok następny. Prenumerować można po wszystkich pocztamtach w kraju i zagranicą, tudzież w kantorze pod liczbą 301, przy placu Ferdynanda we Lwowie.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.